

CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku

25)

przez

WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

Noc robiła się cicha, wygwiażdżona, w niezem zamąconym spokoju zadumana. We dworcu było ciemno, tylko koło obór i stajen ludzie się kręcili i w kuchniach czerwone światło gorzało.

Tak czas upływał. Pani Bogna siedząc na skrzyni zdrzemnęła się, ksiądz w kącie pacierze odmawiał, Świętochna i Miłoslawa szeptały do siebie i śmiały się, a pani Małgorzata rzuciwszy się na łożo, może spała, może i nie. Od ognia rozpalonego w piecu padał migotliwy blask na kamienną posadzkę, zielonąwarą pleśnią pokrytą, na mury czarne, pełne pajęczyn i kurzu. Drwa przyskały głośno i świerszcz, ukryty gdzieś w kącie, napelniał tę ciszę posępną swoim głosem. Puhacz, mający swe legowisko w jakimś zewnętrzny załomie muru, bukał ponuro. Do światła przez otwarte okno wpadły ćmy, a nietoperze wystraszone przez niezwykłych gości ze swej odwiecznej dziedziny, gromadami, jak widma unosiły się dokoła wieży.

Ksiądz nakoniec wstał i rzekł:

— Ostańcie dziedziczko z Bogiem! już późno, idźcie spać. A okna pozasuńcie okiennicami. Ja jeszcze będę czuwał trochę, a potem także zasnę. Bezpieczni tu jesteśmy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

To rzekłszy zeszedł po wąskich, krętych schodach w murze do izby w środkowym pięttrze i słycać było przez jakiś czas jego kroki po kamiennych posadzce, ale wkrótce i te ucichły i nie już nie przerywało poważnego milczenia nocy.

— Kładźcie się spać! — rzekła pani Małgorzata — ja czuwać będę. Jak mię zmęczy, to obudzę ciebie Miłoslavo, żebyś nawzajem przez jakiś czas czuwała.

To rzekłszy, podczas, gdy jej towarzyszki umieszczały się na posłaniach, pozamykała okiennice żelazne, w których od strony wewnętrznej były kółka i przez te kółka przesunął się drąg żelazny, tak że z zewnątrz nikt otworzyć by ich nie był w stanie. Jedno tylko okienko, z którego był widok na dwór Żembociński, zostawiła na pół przymkniętą i podsunąwszy sobie skrzynię, siadła na niej, oparła się głową o mur i patrzyła na noc i na swój dworzec rysujący się w niewyraźnych, ciemnych kształtach na tle nocy. Już teraz wszystkie światła w nim pogasły i żywej duszy nie było widać na dziedzińcu. We wsi też było cicho i ciemno. Drzewa tylko w sadzie szumiały, a z boru, z puszczy niedalekiej, czasami dochodził głuchy ryk dzikiego zwierza. Noc była cudowna w swej ciszy i w swej powadze. Gwiazdy migotały na niebie i niepewny, srebrzysty blask na skraju horyzontu zdradzał, że księżyc niedługo wzejdzie.

Pani Małgorzata siedziała, wsłuchiwała się w tę ciszę, w szmer nieuchwytny, w szelest głuchy nocy. Mimowoli oczy się jej kleiły; dzień miała tak pełen wzruszeń, że była bardzo zmęczoną. Drzewa szumiały tak jednostajnie, zda-

wały się tak kołysać do snu, że sama nie wiedziała dziedziczka Żembocina, kiedy zasnęła.

Jak długo spała, nie wiedziała. Marzenia miała ciężkie i przykre. Śniło się jej, że ją niewolnicy ścigają, gonią, dopadają; że chcą ją zabić, a ona uciekać nie może. Jakaś niemoc ogarnęła jej nogi; ruszyć się nie jest w stanie. Kroplisty pot oblał ją całą. Widzi ich coraz więcej, pędzą ztopierami i maczugami. Nadzwyczajnym wysiłkiem woli zerwała się i obudziła.

Przetarła oczy i spojrzała dokoła. Trzy jej towarzyszki spały jak zabite, a Bogna głośno chrapała. Ogień w piecu wygasł, żarzyło się jeszcze tylko kilka węgli i ich słaby blask nie mógł rozświecić ciemności, w jakich izba była pogrążona. Świerszcz z pod pieca ciągle się odzywał.

Tu więc było spokojnie i wszystko po dawnemu. Już miała pani Małgorzata spojrzeć w napół uchylone okienko, przez które wdzierał się prąd chłodnego powietrza, świadczący, że noc znacznie jest już późna, gdy usłyszała kroki na kamiennych schodach.

Był to ksiądz Wszerad. Stał w izbie i na pół szeptem spytał:

— Śpicie dziedziczko?

— Nie! nie śpię.

— Już są!

— Są?

Tak... kolo dworu... zbierają się... głównie w sadzie. Zobaczcie przez okienko.

Pani Małgorzata skoczyła do okna. Księżyc już wszedł i powoli podnosił się, rzucając ukośne, srebrzyste blaski. Musiało być późno, bo Wielki Wóz na niebie przechylał się ku zachodowi. Noc była chłodna i lekki wiatr się zerwał, zwiastując bliski świt. Kolo dworu jak widma kręciło się mnóstwo ciemnych postaci. Psy we wsi zajadły szczełwały i od czasu do czasu rozlegało się pianie koguta.

— Czy wiedzą, że mnie nie ma we dworze? spytała szeptem, z wyraźnym drżeniem w głosie, pani Małgorzata.

— Oczywiście, że wiedzą! odparł ksiądz — o! patrzcie, wskazują na wieżę. Będziemy ich tu mieli wkrótce. Zgaście dziedziczko ogień w piecu, niech myślą, że śpimy.

Pani Małgorzata machinalnie poszła do pieca i popiołem przysypała żarzące się węgle, ale ledwie się zwróciła potem ku oknu, gdy nagle uderzył w nie purpurowy blask i rozległa się straszna wrzawa.

— Pała dwór! — zawołał ksiądz.

— O zbójce! jęknęła pani Małgorzata i pobiegła ku oknu.

Jakoż kolo dworu biegalo mnóstwo ludzi, trzymając w rękę zapalone pęki słomy, które podkładali pod dach, lub rzucaли na niego. Dach wysuszony zajmował się jak żywica i długie, czerwone płomyki ognia lizać go poczęły dokoła. W jednej chwili na dziedzińcu zrobiło się widno, jak w dzień i przy blasku ognia krwawo oświecone, dzikie, w kożuchy ubrane postacie niewolników, wyglądały jak z piekła wypuszczeni potępienicy. Krzyk był tak straszny, że śpiące pani Bogna, Świętochna i Miłoslawa zerwały się na równe nogi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI

Widzenie na odległość.

Ostatni numer angielskiego pisma naukowego „Discovery” przynosi wiadomość i dokładne szczegóły w sprawie sensacyjnego wynalazku znakomitego fizyka Braida. Chodzi tutaj o nowy aparat na odległość, który w dziedzinie tej przedstawia przemysłowe ogniwo rozwoju. Problem widzenia na odległość, który w ostatnich czasach był już tylokrotnie omawiany, został przez Braida potraktowany z zupełnie nowej strony. Znane dotychczas aparaty tego rodzaju opierają się przeważnie na metodzie fizyka Belina, polegającej na przesyłaniu fotografii i rysunku drogą fotograficzną.

Bezpośrednie zatem oglądanie jakiegoś przedmiotu na odległość niemożliwym jest przy pomocy aparatów Belina, które zresztą zostały w ostatnich latach wybitnie udoskonalone. Wynalazek Braida nie tylko przedstawia nowy rodzaj telegrafu obrazkowego, ale jest aparatem do widzenia na odległość w literalnym tego słowa znaczeniu. Zasada, na której opiera się nowy wynalazek jest właściwie zupełnie prostą. Najłatwiej da się wytłumaczyć przykładowo.

Wyobraźmy sobie na przykład, że wytworzył filmowa w Warszawie pragnie zaangażować artystkę, bawiącą chwilowo w Paryżu.

Dyrektor wytworni nie ufając fotografijom chciałby tę panią naprzód zobaczyć, Paryski aparat nadawczy umożliwiający spojrzenie w dal, składa się tylko z jednej metalowej tarczy, która z wielką szybkością obraca się w koło horyzontalnej osi. Ta tarcza służy za ramy dla licznych małych soczewek. Dama owa staje przed tą tarczą, na twarz jej puszcza się silną falę światła elektrycznego. Gdyby spoglądać na nią poprzez tarczę w spoczynku, to widziałoby się tylko poszczególne części twarzy. Gdy jednak tarcza poczuje się z pewną szybkością obracać, to cząstki te uzupełniają się, tworząc całość obrazu. Przy każdym obrocie z wielką szybkością wirującej tarczy, wciska się jeden promień świetlny przez każdą małą soczewkę i pada na przejrzysty ekran, zrobiony z impregnowanego, wrażliwego na światło materiału. Działanie promienia świetlnego jest bardzo krótkie, ale zanim promień dosięgnie tego ekranu, musi sobie utorować drogę pomiędzy dwoma ząbieniami, również z wielką szybkością obracającego się koła zębatego. Ta przerwa działania promieni świetlnych przez obracające się ząbione koło, powoduje elektryczne wahania, które mogą być przejęte przez analogiczny aparat odbiorczy w innym mieście. Elektryczne fale zamieniają się tutaj dzięki wynalezionej przez Braida metodzie, znowu w promieniu światła, a przeszedłszy podobną zaopatrzoną w małe soczewki tarczę, obracają się w tem samym tempie, jak paryska tarcza metalowa, rzucając na ciemną płytę szklaną wyraźne rysy twarzy paryskiej divy filmowej.

Aparat Braida jest właściwie nową odmianą filmowania na odległość.

Obrazy te, które aparat na razie daje, są mało wyraźne, mgliste, zatarłe. W każdym razie są one jednak wierne, a to już oznacza doniosły postęp w tej dziedzinie nowożytnej

techniki. Przejdzie jeszcze kilka lat, być może dziesiątek lat, a dożyjemy tego, że aparat umożliwiający widzenie na odległość, stanie się czemś tak naturalnym, jak telefon albo telegraf.

Falszywe antyki.

Profesor uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, Coling Fink, wynalazł nowy, elektrochemiczny sposób przywracania dawnej świeżości bronzom starożytnym.

Profesor zastosował ten sposób z powodzeniem do odczyszczenia już 600 posągów, statuetek i naczyń bronzowych, znajdujących się w nowojerskim Muzeum Metropolitalnym, przy tej sposobności jednak dokonał sensacyjnego odkrycia, że wiele z posiadanych przez muzeum przedmiotów starożytnych jest falsyfikatami.

Tak n. p. stwierdzili, że uchodząca za bardzo starożytną statuetka jest żołnierzem ołowianym jednej z fabryk niemieckich, pokrytym patyną brązową jak również, że kupiony za wysoką sumę bronz, przedstawiający wojownika japońskiego na koniu, jest wyrobem zupełnie nowoczesnym, któremu środkami chemicznymi nadano wszelkie cechy starożytności, wprowadzając w błąd rzeczoznawców.

Tajemniczy szczep Tuaregów.

Opuściwszy Timbuctoo we francuskiej Afryce podróżnik udający się na pustynię zobaczy między krzakami mimozy trzody pasących się wielbłądów i niskie skóry kryte namioty. To obóz Tuaregów, tajemniczej białej rasy koczowników zamieszkujących pustynię na wschód od Timbuctoo od Hombori do Agades. Skąd przyszli wraz ze swoim feudalnym urządzeniem kast, dziwnymi obyczajami i welnemi, wysoko moralnie stojącymi kobietami, które potrafiły utrzymać w szczepie monogamię pomimo, że religja, którą wyznają, jest mahometanizm? Są tacy, którzy utrzymują, że są to potomkowie rycerzy krzyżowych, ale legenda ta oparta jest głównie na powtarzającym się u nich często rysunku ozdobnym, przypominającym krzyż chrześcijański. Język, którym mówią — tamaszek — wskazuje na pochodzenie od rasy berberyjskiej w zamierzchłych czasach zalewającej północną Afrykę od Egiptu aż po Atlantyk. Prawdziwi Tuaregowie, w najwyższej klasie utrzymujący czystość rasy, przypominają typem chłopów rzymskiej Campagni, ale są wyższego wzrostu o kościach i budowie delikatnych jak u kobiety.

Mężczyźni są bardzo próżni i zarówno chodząc, jak spoczywając, przybierają malownicze pozy. Wrażenie to podkreślają jeszcze długie powiewające szaty i welony, którymi zakrywają dolną część nosa i usta. Dziwnem to jest u szczepu, którego kobiety chodzą całkiem bez welonu. One są strażniczkami tradycji szczepu, one podtrzymują monogamię i między niemi więcej jest znawców pisma tamaszek, niż między mężczyznami. Poza sztuką robienia bronią i jazdą konną, śpiew i deklamacja wypełniają wielką część życia tych ludzi. Pięknym jest wieczorem widok rzędu opartych na tarczach i mieczach wojowników, śpiewających chórem odpowiedź solście wybijającemu takt mieczem.